

Od autora: Wszelkie komentarze są jak najbardziej mile widziane. ;)

Czasami czuję taką pustkę. Uczucie pustki rośnie i rośnie a potem rozmywa się po całym ciele, tak delikatnie, jakby nigdy go nie było. Dzisiaj właśnie z takim ciężkim sercem wsiadłam na rower i pojechałam.

Musiałam wyrwać się z domu i coś ze sobą zrobić. Cały poranek krążyło mi po głowie pytanie o to co, tak właściwie jest za ulicą Kozuchowską, jak taki niepokój. Co jest tam na dole, tam na lewo. Musicie wiedzieć, że piękne miasto Zielona Góra rozciąga się od ul. Batorego na północy aż po Jędrzychów na południu. A przynajmniej z mojej perspektywy tak właśnie Zielona Góra wygląda, na tym się kończy, na tamtym się zaczyna. Urodziłam się tu parę dobrych lat temu, ale do centrum docieram cały czas tą samą, jedną drogą. Kozuchowską w górę i dalej prosto. Głównie z buta. Dopiero na deptaku budzę się z przyjemnego muzycznego otępienia i obieram właściwy kierunek w zależności od celu wycieczki. Do optyka, czy na Chopina, do Demona czy do One love, zawsze po drodze mijam deptak, taki już mam zwyczaj.

W mieście bywam dość często, rzadko zdarza mi się za to zwiedzać Jędrzychów.

Podobno pod latarnią bywa najciemniej.

Własny, ale tajemniczy Jędrzychów czekał aż odważę się pojechać aż za osiedle Bajkowe, aż minę Jasia i Małgosie, pożegnaj Kopciuszka. Cekał, aż przejadę obok wszelkich owocowych ulic i wyjadę aż za Kozuchowską. Kozuchowską, która od zawsze, była jednym z ważniejszych wyznaczników mojej czasoprzestrzeni. Rządna przygody, wsiadłam na rower i pojechałam.

Po drodze musiałam oczywiście zwyciężyć z upartą dętką, zdecydowanie za niskim siedzeniem od roweru, dla którego czas zatrzymał się na etapie mojej późnej podstawówki oraz co najważniejsze z kochającą mnie dogłębnie, aczkolwiek przekonaną o niepowodzeniu całego przedsięwzięcia babcią („weź mi kabaczka z działki do plecaka, tylko mi tam nic nie zniszcz”). Pytanie. Czy ktokolwiek wie, jak zrywając kabaczka można cokolwiek zepsuć? Jako rodzinna gapa, przywykłam do tego typu komentarzy, ale, jakieś granice logiki powinny obowiązywać nawet i moją przeszło osiemdziesięcioletnią babcię. Już nie mogłam się doczekać, kiedy to w obliczu czekającego na zerwanie warzywa, zostanę oświecona wiedzą na temat ewentualnego zagrożenia. Sama moja wyobraźnia aż tak daleko nie sięga.

Tym sposobem, zaplanowana przygoda stała się nie tylko misją odkrywczą, ale i nabrała charakteru wyprawy zdobywczej z lekką perspektywą oporu ze strony zieleniny, którą według królowej rodu należało potraktować dyplomatycznie, aby nie odnieść żadnych strat materialnych ani nie-daj-Boże, ludzkich („kolano to sobie obdzierają dzieci a nie kobiety”).

Wsiadłam na rower i pierwszy etap Tour de Jędrzychów, czyli ulicę Jagodową, pokonałam gładko w umiarkowanym tempie siedemnastu kilometrów na godzinę. Skręcając w lewo, w Kozuchowską, musiałam zmierzyć się z pierwszym przeciwnikiem, to jest – ruchem drogowym. Przypomniałam sobie tym samym, że nie mam przy sobie żadnego dokumentu tożsamości i czując się niczym jeden z uchodźców, śmigałam dalej dwadzieścia na godzinę. Kozuchowską jest z górki. Słońce świeciło wysoko, wiatr pchał do przodu. Z drżącym z wrażenia sercem zbliżałam się do sławnego RONDA. Otóż to do tego ronda właśnie, znajdującym się aż za kaplicą Kościoła Matki Boskiej Częstochowskiej, Ba! Aż na poziomie Intermarké, sięgała moja, wyżej wspomniana i jak już udowodniono, posiadająca pewne ograniczenia, wy-

obrażnia. Śmiało przecięłam je na wskroś paroma ruchami napompowanych kół i tym oto sposobem znalazłam się po drugiej stronie.

Jadąc po pachnącej unijnymi funduszami ścieżce rowerowej, mijałam bardzo zadbane i okazałe domki rodzinne. Rodzinne, bo zaopatrzone w ogródki pełne najróżniejszych sprzętów skonstruowanych po to dostarczać potomstwu atrakcji w stopniu umiarkowanym. Bezpiecznie, aczkolwiek z dreszczykiem emocji, pozwalających testować prawa grawitacji, huśtając się na tyle wysoko, aby chcieć dotknąć stopami nieba a na tyle nisko, żeby do Nieba nie trafić.

Wyjechałam za miasto, jak wskazywał na to drogowy znak informacyjny.

Samochody przyśpieszały, ja zwalniałam, ścieżka się kończyła. Wjechałam do lasu. Krążąc między drzewami myślałam o czekającej mnie bitwie z kabaczkami. Z uśmiechem na twarzy, skręcałam to w prawo to w lewo (raczej w lewo) myśląc jak przypadkowe bywają nasze decyzje. Po kilku dziesięciu minutach tańca z szyszkami, ściółką, piaskiem i korzeniami, całkowicie zagubiona, ale i szczęśliwa, zawróciłam gotowa na wypatrującą mnie, znajdującą się bliżej miasta, działkę.

Kabaczka zerwałam w tempie natychmiastowym uszkadzając przy tym jego sąsiada, pana Liścia. Obiecując sobie zapodanie stosownego nekrologu do Gazety Działkowca, westchnęłam śmiejąc się sama do siebie.

Babcia ma zawsze rację. Miejmy nadzieję, że o nic nie będzie pytać.

Chcąc, nie chcąc, musząc, wpakowałam nieszczęsne warzywo do plecaka i pojechałam do domu.

Wjeżdżając ponownie na Jęczmienną szukałam w sobie znanej pustki i z pełną satysfakcją jej nie znalazłam. Zrobiłam zdjęcie drzewu i jak na hipstera przystało dodałam je na Instagrama z obowiązkowym opisem. Zsiadłam z roweru i wróciłam z kabaczkim, pustą butelką wody i pełną duszą.

Marzenia trzeba realizować.

Chciało dziecko wiedzieć do jest za rondem?

Teraz dziecko wie.

Kabaczka się ma – kabaczka się zje.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

mur, dodano 31.08.2017 10:07

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.